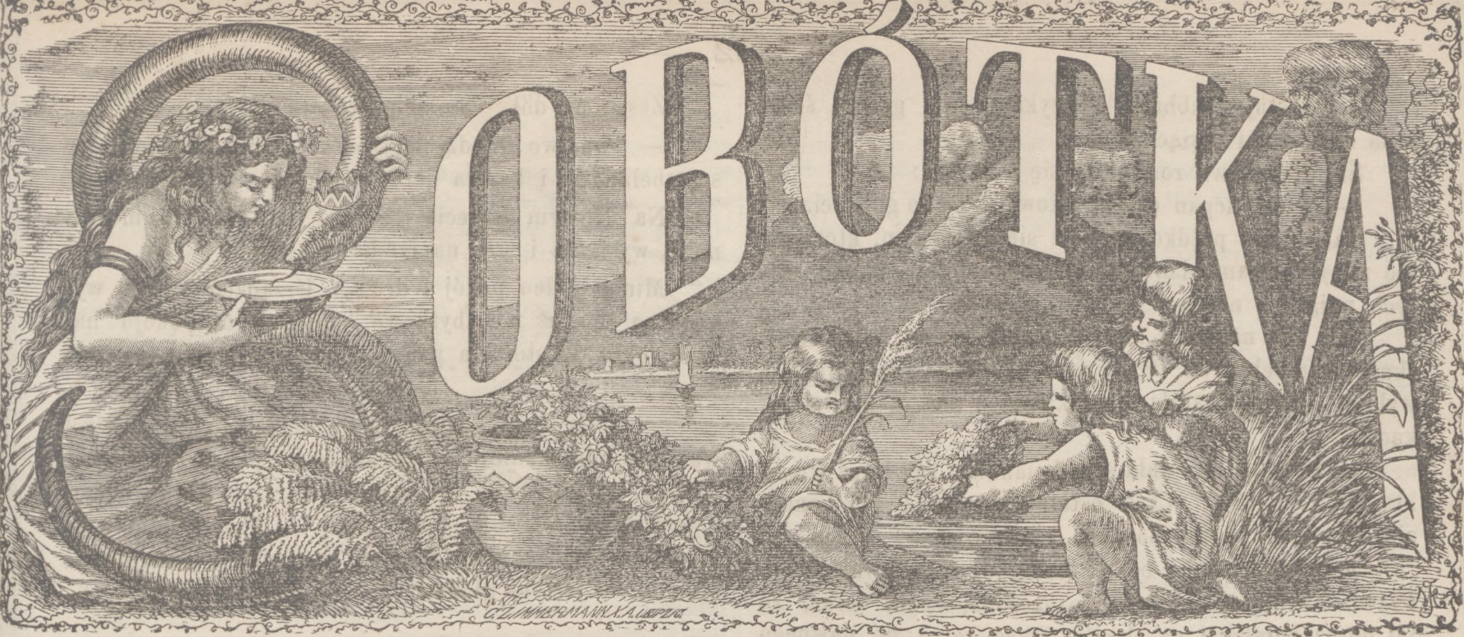




# TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 21. Poznań, dnia 21 maja 1870. Rok II.


## Od Redakcyi.

*W przyszłym numerze rozpoczniemy druk nowéj powieści, osnutéj na małomiéjskich stosunkach Wielkopolski. Znajomość typów miéjscowych i artystyczne ich odmalowanie przez utalentowanego autora, pozwala nam twierdzić, że powieść z wielkiem zajęciem czytaną będzie.*

*Przy téj okoliczności nadmieniamy, że z dniem każdym siły literackie i artystyczne Sobótki zwiększają się. — Rok przeszło istnienia pozwolił nam liczbę współpracowników pomnożyć i pismo na utorowaną drogę wprowadzić. — Spodziewamy się że usiłowanie nasze uznanie w publiczności znajdzie i że ta poparcia swego jak dotąd tak i nadal nam nie odmówi.*

*Upraszamy wszelkie korespondencye i prace tyczące się Redakcyi przesyłać pod następującym adresem: Redakcya Sobótki w Poznaniu, w księgarni M. Leitgebra i Spółki.*

# Milion na poddaszu,

## Obrazek z niedawnéj przeszłości

przez

**Jana Zacharjasiewicza.**

(Dokończenie.)

XXXVI.

Ubogie poddasze stawało się z każdą chwilą jeszcze uboższém. Wychodził z niego jeden sprzęt po drugim. Krzesła, kanapa, szafki, stoły, lustra wszystko wędrowało po schodach, aby spokojniejsze miejsce zająć w tandecie...

Wreszcie niepozostało nic... nic prócz smutku i rozpaczy w gołych ścianach... i prócz jednego stołu, który nabył jakiś tandetnik i właśnie usiłował go ruszyć z miejsca, gdy Terenia nagle krzyknęła.

Przypomniała sobie, że w szufladzie tego stołu miał Bernard jakieś papiery. Przystąpiła więc do tandeciarza i zabroniła mu brać tego stołu nie otworzywszy wprzódy szuflady.

Szuflada jednak była zamknięta, a klucz u Bernarda.

Za długo było tandeciarzowi czekać — wstrząsł kilka razy stołem, a zamek puścił...

Terenia schyliła się, aby wybrać papiery... w tém nagle krzyknęła!

Zbliżyła się szambelanowa i złożyła ręce jakby modlić się chciała...

— Poczciwy Bernard, zawołała, zkąd on wziął pieniędzy na twoje obrazki!

Terenia wyjęła swoje obrazki, a łzy rzęsiste puściły się z jéj oczu...

— Patrz Tereniu... nawet ten ostatni obrazek!...

W téj chwili, zadyszany i cały czerwony od wzruszenia wpadł Bernard.

— Systuję subhastę! krzyknął śród gołych ścian i na stół rzucił tysiąc złotych.

Szambelanowa rozśmiała się i rzekła:

— A cóż acpan chcesz ratować, czy te gołe ściany?

Tandeciarz prędko wyniósł się ze stołem, ktory tanio nabył. Szambelanowa zaledwie zdołała tysiąc złotych wziąść z niego....

Gdy już nikogo i nic na poddaszu nie było, uściskała szambelanowa Bernarda i na głowę jego kilka łez wylała. Terenia stała zapłakana, z obrazkami w rękach...

— Tereniu, zawołała szambelanowa, czy teraz wiesz, kto cię kochał?... Czyś ostatecznie sama przekonała się, kogóś ty kochać powinna i jak kochać?

Terenia spuściła oczy, serce jéj biło gwałtownie. Przed chwilą rozżalona i zrozpaczona, czuła teraz, że jéj dusza zbłąkana na chwilę wraca teraz do dawnego uczucia...

Bernard przystąpił teraz ku niéj; łzy puściły mu się z oczu, przykląkł, i nic nie mógł mówić. Terenia pochyliła się nad nim, dwie perłowe łezki spadły z jéj oczu na jego głowę...

— Podajcie sobie ręce, rzekła szambelanowa, bo Bóg was stworzył dla siebie. Ty Bernardzie mężnie i poczciwie przebijałeś się przez życie i zasłużyłeś u Boga na szczęście... A ty Tereniu nauczyłaś się być ubogą, a teraz miéj naukę, że niezawsze to dobre, co dobrocią świeci! Nauka ta potrzebna ci nawet była, bo kobieta bez podobnych doświadczeń, nie może kochać całą duszą! Zawsze majaczyć jéj będą przed oczyma jakieś widziadła zdala barwami nęcące, póki się ich ręką nie dotknie i nie poczuje, że to brzydkie mgły, wyziewy błota i zgnilizny...

Bernard okrywał pocałunkami rękę Tereni i płakał... Terenia także płakała...

— Mam dekret na rangę i cztery tysiące złotych! zawołał nagle Bernard, bo teraz dopiero o nim sobie przypomniał — mam dekret... ale zastawiłem go za tysiąc złotych!

— Szambelanowa patrzała kilka chwil z rozrzewnieniem na Bernarda, który dziwił się, że jego dekret tak mało wrażenia sprawił u biednych...

— Schowajmy to wszystko na późniéj, rzekła w końcu szambelanowa, a teraz chodźmy na obiad, bo jestem głodna!

Zeszli na dół. Na dole czekala dorożka.

— Państwo młodzi naprzód! zawołała z uśmiechem szambelanowa i kazała dorożce jechać na Nowy Świat.

Na Nowym Świecie stanęła dorożka. Szambelanowa wysiadła i szła naprzód. Weszli na piętro.

Minęli jeden pokój i drugi. Urządzenie było wykwintne chociaż nie zbytkowe. W trzecim pokoju nakryte było do stołu, a panna Elżbieta właśnie stawiała wazę.

— Moje dzieci, ozwała się szambelanowa, oto jest wasze pomieszkanie!... Macie sześć pokoi, dla mnie siódmy. Tymczasem to wam wystarczy, a gdy będzie potrzeba więcéj, to pomyślimy!... Terazj odmówmy modlitwę, podziękujmy Bogu za wszystko i siadajmy do obiadu, bo jestem głodna!..

* * *

Czyż na tém koniec?... A koniec!

Ale milion?... Gdzież milion?

Miliona nie liczyłem, to o nim nic bliższego powiedzieć nie mogę. Opowiadali mi tylko współcześni tego wydarzenia, że po wszystkich salonach Warszawy rozeszła się wieść, że szambelanowa w istocie dała milion gotówką Bernardowi. Byli nawet tacy, którzy to widzieli...

Mimo tego milionu jednak pozostał Bernard przy pracy, doszedł najwyższych w kraju urzędów, a jeźli kiedy jaki przyjaciel poufnie pytał go, czy rzeczywiście dostał milion od szambelanowéj, wtedy Bernard zbliżał się do Tereni, a całując ją w różowe paluszki odpowiadał:

— Czy nie wierzysz, że to milion. mój bracie?

— Ba, replikował na to ciekawy przyjaciel — ja wiem, że to milion, ale ja pytałem o pieniądze!...

— To w takim razie pytaj, czy dostałem dwa miliony, a ja ci wtedy odpowiem!

Do kategorycznéj odpowiedzi jednak nigdy nie przyszło, ale przyjaciele Bernarda wierzyli po tém jak żył i co drugim świadczył, że miał rzeczywiście — dwa miliony!

Radzymno, 28 listopada 1869.

## Drezno*)

(Z ryciną.)

Drezno, 10 czerwca 186...

Drezno (po łużycku Draždany), zrobiło na mnie wrażenie jak piękna kobieta, jak to mówią, bez życia

*) Podajemy widok Drezna, nie tylko jako wizerunek ciekawy stolicy państwa, ale równocześnie ze względu na ścisły związek miasta tego z przeszłością naszą i teraźniejszością. Wspomnienia historyczne królów Sasów, Flemingów, Brühlów itp., jako mary pokutne należałoby wyrysować, unoszące się nad wieżami miasta na ciemnych chmurach narodowych grzechów naszych, narodowego upadku. Czego nie zrobił rysownik, niech uzupełni wyobraźnia czytelnika, patrzącego na niewinne kształty gmachów, kościołów i sławnego tarasu, wznoszącego się z wód Elby po lewéj stronie mostu. Jeśli nazwa tarasu Brühlowskiego w przeszłość wiedzie, to widok spacerujących po nim postaci, wzbudza ciekawość, czy nie są to może znajomi? Bo, jak wiadomo, taras jest ulubionym spacerem wyższego towarzystwa zagranicznych kolonii drezdeńskich, między któremi Polska odznacza się liczbą, świetnością i tém co się zowie chic. Więcéj po tarasie spaceruje polskich stóp i stópek pięknych, jak po Ogrodzie Saskim w Warszawie cudzoziemców! Z wszystkich dzielnic Polski zwabia Drezno liczne rodziny zamożniejsze na mieszkanie, bądź dla przyjemności, lub kształcenia dzieci, — a wszakże i nazwiska głośne w narodzie naszym z nauki, talentu inteligencyi, znalazły albo szukać musiały tam ustronia na pracę około ogólnéj oświaty i dobra publicznego.

Nie chcąc krótko zbyć miasta tego, a nie mogąc dla rozmiarów pisma dać szczegółowego opisu, zamieszczamy poniżéj kilka ustępów z zapisków podróżnych, udzielonych nam z teki jednego z przyjaciół pisma naszego. Może bezpośrednie wrażenia autora, potrafią w niejednym punkcie zadowolić ciekawość czytelnika. (Przyp. Red.)

i ognia. Doprawdy aż uderza i bije w oczy jakaś, nie powiem śmiertelna, ale wywczasowa cisza, zalegająca miasto. Mówią wprawdzie, że teraz po Świątkach najspokojniejszy czas, którego kupcy nawet używają na wycieczki, podroże i wytchnienie od pracy, ale równocześnie przyznają wszyscy, że Drezno nie zna właściwego zgiełku stolicznego. Jest to miasteczko-stolica. Ma wszystkie przyjemności wielkiego miasta, dogadza wszelkim wymogom publiczności wielkomiejskiéj, ale zarazem łączy w sobie spokój i taniość małego miasta. Ze stolic znaczniejszych najtańszém miastem jest Drezno.

Ludność Drezna jest bardzo mięszana, a autochtoni tak gdzieś znikają na wszystkich punktach zbornych z publicznością, wśród napływowych żywiołów różnorodnéj cudzoziemszczyzny, iż potrzeba już dłuższego pobytu, żeby upatrzeć czas do odszukania i poznania właściwych Drezdeńczyków z Waldschlösschen i Vogelwiese. W teatrze, na koncertach, nawet w kościele, co widzisz, same egzotyczne twarze, i słyszysz różne języki obce krajowi, bo ludność miejscowa gdzieś za straganami, w sklepach i pracowniach, skromnie a pożytecznie ukryta, zbija i liczy grosze, płynące szerokim strumieniem z kieszeni cudzoziemców. A jakże za to uprzejma: nie mówię już sposób wyrażania się, ale nawet głos Drezdeńczyka i Saksończyka w ogóle, ma jakąś miękką i ponętną cechę uprzejmości, za którą się naturalnie chętniéj płaci, jak za zarozumiałą opryskliwość i butę Berlińczyka.

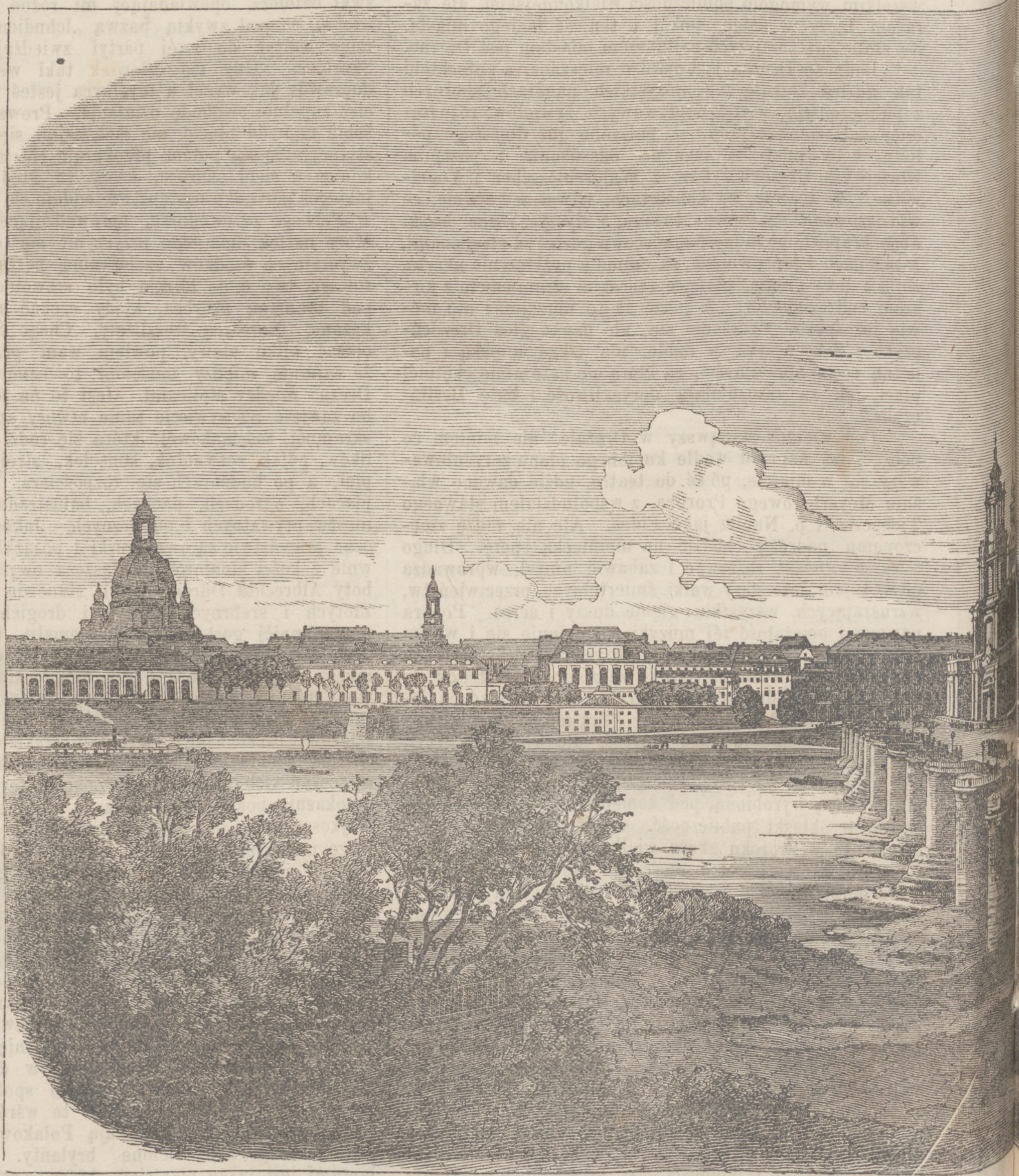
Pod wieczór stanąwszy w Dreźnie, nie miałem co począć, jak naprzód wedle kupionego planu zoryentowawszy się w mieście, pójść do teatru, gdzie dawano właśnie Meyerberowego Proroka, z współudziałem sławnego Tichaczka i p. Nanitz jako Fides. Ale nie radzę zmęczonemu podróżą chodzić na niemiecką operę. Długo trwa, a zamiast rozerwać i zabawić umysł, wprowadza go w tajemnicze sfery walki śmiertelnych przeciwieństw, wzruszających wszystkie głębie duszy i serca. Ponura powaga i ociężałość téj muzyki znamionuje się i w tém najdobitniéj, że nawet w najliryczniejszych partyach trudno jéj się wyemancypować ze zbiorowości tonów do swobodnéj melodyi, a każda arya zdaje się być na jeden głos przerobionym chórem. Tak mianowicie w Proroku. Po Tichaczku znać starość, ale więcéj w akcyi, jak w niespożytym głosie. Panna Nanitz jest świeżą siłą, po mistrzowsku włada potężnym altem, który wspólnie z akcyą wyrobioną, pod koniec sztuki umiał porwać skąpą w oklaski publiczność. Jeśli bowiem w któréj operze, to w Proroku akcya wielką odgrywa rolę. Jest to opera, któréj libretto częściowo staranniéj dramatycznie opracowano, a więc dla ról potrzeba nietylko śpiewaka ale i aktora dobrego. Oryginalna też jest scena zabawy ludowéj na lodzie, użyta, jak się zdaje nie bez obrachowania. Zwykle pod pierwszym lepszym pozorem zwykło się wplatać do oper balety, bez najmniejszéj prawdy i zgody z rzeczywistością; tu taniec łyżwowy przedstawia oku równieź miły, a estetyczniejszy widok, jak akrobatyczne skoki i wyginania tancerek. Opuściłem teatr, w którym na domiar złego było gorąco jak w łaźni, zmęczony do reszty, bo i w międzyaktach nie było się czém rozerwać z wrażeń przejmującéj muzyki: najpilniejsze poszukiwania nie mogły dopatrzeć twarzyczek pięknych, których widok stanowi w każdym teatrze integralną część przyjemności. W lożach dwie brunetki o energicznych rysach, może Francuzki, i jedna blondyneczka z kędzierzawym włosem, pewno Angielka — otóż wszystko co stanowiło tego wieczora ozdobę publiczności. Dowód oczywisty, że nie było Polek w teatrze.

Teatr*) sam, jako budowla, na zewnątrz tyle piękny co okazały, na wewnątrz obszerny, ale ciężki, a to z powodu, że nad każdą lożą wisi w kształcie konchy ciężkie i nie ładne sklepienie. Osobliwe i oryginalne jest i to, że nad sceną jest zegar, ale nie z zwyczajną tarczą, lecz wskazuje tylko godzinę i co pięć minut zmieniającą się odpowiednią liczbę minut. Zdziwiło mnie to tém bardziéj, że snać zresztą zegary nie zbyt lubione są w Saksonii, bo nawet nie na każdym dworcu publicznie je wystawiono.

Nazajutrz rozpocząłem pielgrzymkę po zbiorach osobliwości drezdeńskich. Kabinetsjaeger — nazwał balbierz, opowiadający mi różne banialuki, człowieka, co pod zwykłą nazwą „lohndienera“, przyszedł mnie zabrać do swéj partyi zwiedzających „Zielony Skarbiec.“ Gdy cię człowiek taki weźmie w opiekę, doprawdy jak wyżeł u myśliwca jesteś na obroży i tracisz zupełnie swobodę działania. Prowadzi cię, a każe sobie naprzód płacić, nie wykazując się budżetem konstytucyjnym, a potém przekazuje cię jakiemuś innemu komuś w sieni skarbca, który to ktoś dopiero, wedle jakiegoś porządku następstwa oddaje cię nareszcie w ręce właściwego przewodnika, oprowadzającego po skarbcu. Może natłok dnia tego przyczynił się do użycia nadzwyczajnych środków zachowania porządku, dosyć, że towarzystwo moje blizkie było zrewolucyonizowania się pod bramami skarbca, kiedy czekać mu kilkakrotnie kazano. Nareszcie weszliśmy. Chcąc Skarbiec Zielony opisać kilku słowy, powiem wam przez porównanie, że zajmuje między muzeami to samo stanowisko, co Drezno między stolicami. Jest to na prawdę muzeum, bo zawiera rzeczywiście same utwory sztuki, ale cichéj, skromnéj, zaściankowéj, która się rodzi dla stołów, stolików, półek, serwantek, konsolek, stroi wdzięki obojga płci, a po buduarach się rozpościera, nie po ulicach, placach, ogrodach, dachach, balustradach i niżach domostw prywatnych i publicznych. Jakże misterne i stuczne prawdziwie są owe figurki i posążki brązu, a głównie z kości słoniowéj, zwłaszcza owych dziewięć, roboty Albrechta Dürera, które stanowią klejnot zbioru. Złotych i srebrnych naczyń i drogich kamieni, albo przynajmniéj gęsto sadzonych emalji, kryształów wielkości zadziwiającéj, mozaik, filigranów, napatrzeć się tu można do sytu. Co zaś dla niemieckiego zbioru główną stanowi wartość, że prawie wszystkie dzieła złotniczego rzezbiarstwa, są roboty niemieckiéj, z warsztatów drezdeńskich i norymberskich. Nawet się chełpią, że nie mają dzieł roboty włoskiéj, prócz kilku wenecyańskich filigranów. Zebrali te pomniki sztuki i pokazują pokoleniom ku nauce i na podnietę do pracy. Najkosztowniejszą częścią zbioru, co do wartości surowego materyału, są sławne brylanty królewskie, mianowicie w jednéj szafie zamknięte trzy garnitury: biały, żółty i czerwony, składający się każdy z 36 guzików, noszenia, klamer, kity do czapki polskiéj itd. W garniturze żółtym jest, jako wisiorek u kolji, brylant zielony 40 karatowy, jedyny na świecie tego koloru, oszacowany na 400,000 tal. Kosztowności te pochodzą z czasów, kiedy elektorzy sascy byli królami polskimi, tak samo jak w téjże komnacie wystawiony zbiór nadzwyczaj bogatéj broni królewskiéj, między którą jest i miecz koronacyjny, Augustowi w darze przysłany. W ogóle po całym skarbcu często spotyka się okiem herby Orła i Pogoni; symbole te wśród kosztowności realnej wartości, przypominają Polakowi klejnot ojczysty, droższy nad zielone brylanty. Między brylantami jest także pierścień, który swego czasu nosił Marcin Luter. Z indygnacyą opowiadał mi nader płynnéj wymowy przewodnik, że niedawno temu, kiedy po skarbcu oprowadzał jakiegoś księcia włoskiego, którego nazwiska nie chciał wymienić, tenże na wzmiankę o Lutrze, splunął, za co go grzecznie za drzwi wyproszono. Mnie na widok brylantów i — kobiet, z lubości aż klękających przed niemi, żeby się z bliska przypatrzeć, inna myśl strzeliła po głowie: że ładne są brylanty, ale ładniejsze owe tysiące a tysiące ładnych i gorejących oczek, co na nie patrzały i jeszcze patrzeć będą.

*) Spalił się zeszłego roku.

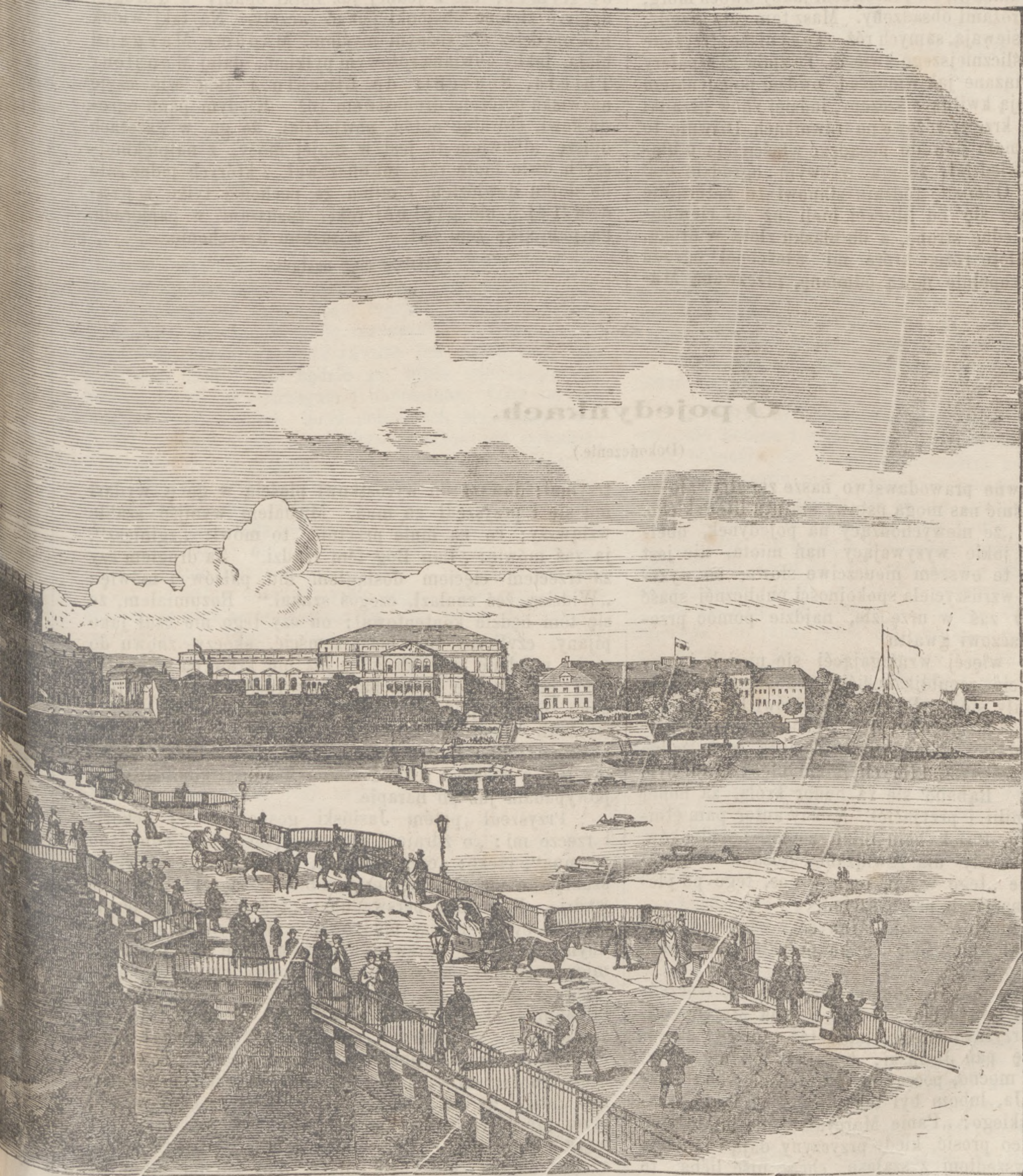
Ze skarbca zaprowadzono mnie do zbrojowni, gdzie mnie nie tyle zajęły ściany poobwieszane starożytną bronią i zupełne rynsztunki różnych saskich książąt, rycerzy, co zbroja naszego Jana III Sobieskiego, którego mi przewodnik prezentował z czcią, jako zbawcę Wiednia. Zbroja a raczéj misiurka ta składa się jakoby z samych guzików stalowych, wielkości złotówki, które gęsto przy i nad sobą naszyte są na purpurowym aksamicie, podbitym łosią skórą. Na każdym guziku jest wypukły krzyż. Takiejże roboty jest nakrycie na głowę i lica. Prócz tego mieści zbrojownia jeszcze wiele innych pamiątek polskich, jako to kilkanaście kosztownych karabel przybocznéj gwardyi szlacheckiéj króla Augusta, mnóstwo helebard, czyli partyzan polskiéj piechty. Najdroższą jednakże pamiątką dla Polaka, jest pukiel włosów Tadeusza Kościuszki, umieszczony za szkłem, rzecz osobliwsza, w bezpośredniém sąsiedztwie autografu Dybicza Zabałkańskiego. Jest też nie mało tureckiéj broni, podobno przez samychże Sasów zdobytéj pod Wiedniem, i namiot Kara Mustafy, buńczuki itd.



Ciekawe też są zabytki z wojen husyckich: puklerze dziwnego kształtu, łuki, kolce i żelazne cepy, a między tém wszystkiém, wisi portret groźnego Żyski.

Ze zbrojowni krok jeden tylko do galeryi obrazów; ale niepodobna marnować wrażeń, więc i ja tymczasem poprzestałem na skarbcu, zbrojowni i poszedłem odpocząć i posilić ciało. Muszę tu jeszcze nadmienić, że tak skarbiec zielony, jak zbrojownia i galerya mieszczą

się w jednym ogromnym budynku, tworzącym wielki czworobok, w pośród którego jest wielki dziedziniec z ogrodami, spacerami i pomnikiem któregoś króla. Gmach ten stoi między zamkiem królewskim a teatrem w bliskiém sąsiedztwie głównego kościoła katolickiego, zbudowanego w bardzo poprawnym stylu renaissance, ale żałuję, że o pięknych kształtach architektonicznych onegoż tylko niezupełne powziąść mógłem wyobrażenie, bo wieża cała otoczona była belkowaniem, z którego ją odnawiają. Nie ja sam się na to skarżę, bo wieczorem w małym latowym teatrze, gdzie dawano Orfeusza w Piekle, kulas Merkury na zapytanie Jowisza,



coby mu się w nogę stało, skarżył się także, że lecąc z nieba, zawadził o rusztowanie około wieży katolickiego kościoła i zbił sobie nogę. Jeślim już zawadził o teatr latowy, i wydał się z wycieczki na pustotę offenbachowską, niech mnie usprawiedliwi wzmianka o piękności ogrodu, w którym teatr latowy wystawiono. Ogród latowy w Dreznie położony jest w Wielkim Ogrodzie (Grossgarten), w znacznem oddaleniu od miasta. Warto jednakże się pofatygować, żeby użyć miłego chłodu ogromnych drzew i alei tego parku, a w pobliżu samém teatrzyku jest cudownéj piękności ogród różowy, który teraz właśnie stał w pełném kwiecie. Zachwycony byłem i widokiem i wonią, i aż się spóźniłem z antraktu, tak mi nie sporo było z ogrodu, zwłaszcza że spotkałem i zagadnąłem jakiegoś staruszka, który mi też zaraz zaczął opowiadać, że w Dreznie kultura róż jest

bardzo ulubiona i rozpowszechniona, a zalecał żeby zwiedzić znaczniejsze ogrody różowe, bo chyba w Paryżu są większe i piękniejsze. Już poprzednio czytałem był w któréjś gazecie anons, gdzie ktoś zapraszał ciekawych na bezpłatne obejrzenie dziwnéj piękności róż; więc téż nazajutrz zaraz od rana, mimo złéj pogody i półmilowego oddalenia, omnibusem pojechałem na miejsce do Strehlen. Nie żałuję czasu i kilku groszy. Ogród jest własnością ogrodnika S., na przestrzeni jakby dwóch mórg, prawie samemi różami obsadzony. Masz tam całe grzędy, jak to u nas mak siewają, samych róż. Te są nisko strzyżone a pełne były najśliczniejszego kwiecia. To znów są szpalery do płotu przywiązane jak winograd, owdzie pojedynkiem i w grupach stoją kwitnące szczepy, indziéj znów grządki wzdłuż ganków, krzewy różowe po trawnikach. Dziwnie to brzmi, ale nie mam powodu posądzać właściciela o blagę, jeśli mi powiedział, że ma w swym ogrodzie 600 rodzajów róż. Odmianę rodzaju stanowi tu naturalnie kolor, stopniujący się od liliowéj bieli aż do ciemnoburego pąsu w jednę stronę, a do blasku złota w drugą. Niestety owe złote róże, które mi właściciel ogrodu zachwalał jako zupełnie nową odmianę, przezwaną Maréchal Niel, jeszcze nie kwitły. Mógłbym plik arkuszy zapisać nazwiskami róż. Kto myśli, że Bouton d'or znaczy złoty guzik, bardzo się myli, bo to jest śliczna maluczka różyczka żółta, nabita jak głowa kapusty. Obok niéj stała płowa Madame Charles. Prince Beauharnais ma kwiat bardzo wielki, ciemno-pąsowy, podobnież i Modèle de perfection. Były téż dwie kokietki: Coquette de St. Marceau i Coquette de Nimes, ale z jednéj już listki opadły a u drugiéj dopiero zielone obsłonki pękać zaczęły. Na taki widok nie opędzisz się różnym myślom. Madame Margand biała, jakby obwiana różowym pyłkiem, dalej Monsieur Thiers, Souvenir de Lincoln i Bóg wie czyje nazwiska uczczono druhostwem róż. Kiedym panu ogrodnikowi, chwaląc ogród, powiedział, że go w gazetach opiszę, albowiem to jest w mojéj mocy, z najpiękniejszych dwie białe róże mi ofiarował, z których jednę cało do domu dowiózłem i mimo że pochodzi tylko z pracowitéj a nie pięknéj ręki, zasuszam w papierach, na pamiątkę żem był — w saskim Jerychonie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## O pojedynkach.

(Dokończenie.)

Jak się dawne prawodawstwo nasze zapatrywało na pojedynki, objaśnić nas mogą ustawy statutu litewskiego. Oświadcza on: „że niewychodzący na pojedynek, obelżywemi słowy, jakie wyzywający nań miota, nie jest ukrzywdzonym: te owszém nieuczciwe słowa, na wyzywającego, jako wzruszyciela spokojności publicznéj spaść mają; obrażony zaś w urzędzie, najdzie pomoc przeciwko zapowiadaczowi gwałtu.

Przy coraz więcéj wzmagającéj się niedoli i przy upadającéj cnocie republikanckiéj, podobnego rodzaju gwałty zwiększały się. „Po obozach, mówi Lelewel rąbano się i strzelano się a wyprawa chocimska jest pełna takich epizodów.“ Nie obeszła się bez nich żadna biesiada, żadna zabawa, których mimo klęsk kraju było wszędzie pełno. Rąbano się za honor króla, za honor swéj partyi, familii i przyjaciół. Znany autor pamiętników z 17 wieku, Pasek sam miał ze 30 pojedynków. Trzeba było niekiedy dla zawiązania stosunków w nowem sąsiedztwie „tego w łep, tego w nos, tego po plecach, żeby nie nazywali przybyszem.“

Opisał on niektóre swoje i innych z właściwą sobie naiwnością i malowniczością Jako przykład niech służy następujący opis:

Towarzystwo tedy regimentarskie, panowie Nuczyńscy pili u brata swego ciotecznego, u pana Marcina Jasińskiego, towarzysza naszego; mnie téż tam był zaprosił na tę ucztę pan Jasiński, bodajby jéj nie było! Dopiwszy tedy mocno, począł mi Nuczyński wielkie dawać okazye. Ja, lubom był tak pijany jak i oni, rzekłem do Jasińskiego: „Panie Marcyanie, nie miałeś mię tu Waszeć po co prosić, kiedy przyczyny dają i miodem oblewają“, i wyszedłem z szałasu, chcąc ujść licha, to tylko wymówiwszy: „Kto ma do mnie pretensyą jaką, wolno mi powiedzieć jutro, a nie po pijanemu.“ Jużem tedy w pół drogi, dogonił mię Nuczyński: „bij się ze mną!“ Odpowiedziałem: „Panie bracie, nie bardzo byście Waszeć leniwego uznał, ale dwie są przeszkody: jedna że tu obóz, druga że tu szable nie mam, bom poszedł do towarzysza swego na posiedzenie, nie na żadną wojnę; ale tak, jeżeliby to nie mogło być inaczéj, jutro rano, a za obozem a nie w obozie.“ Idę tedy do swego szałasu, onego zaś jego wyrostek hamuje i przytrzymał; dawszy on wyrostkowi pięścią w gębę, wydarł mu się i przyszedł za mną. Musiałem wynijść szablę wziąwszy; co na mnie przytnie, to mówi: „zginiesz“, ja zaś mówię: „Pan Bóg tém rządzi.“ Za drugiem czy za trzeciem cięciem dosiągłem mu palców i mówię: „Widzisz, żeś znalazł, czegoś szukał.“ Rozumiałem, że się tém będzie kontentował; on czy tego nie czuł jako pijany, czyli się téż chciał zemścić, skoczy znowu do mnie, machnie raz i drugi, a już mu krew na gębę pluska; jak go tnę przez puls, wywrócił się. A w tém dano znać do pijanych, którzy rozumieli, że na (......) wyszedł. Leci młodszy brat, pocznie gęsto i często przycinać; Pan Bóg zaś patrzał na niewinność. Zetrzemy się z sobą, i ręka i szabla upadła; kompania téż powypadała już po harapie.

Przyszedł potém Jasiński gospodarz téj ochoty, i rzecze mi: „o zdrajco! pokąsałeś mi braci, pójdzieno ze mną“; rzekę: „czego szukali, znaleźli“: począł wołać szablę, bo nie miał jéj przy sobie, a za rękę mię prowadzi. Kompania perswadują: „tyś gospodarz, powinienbyś był te rzeczy medyować; nie czyń tego.“ Żadnym sposobem perswadować sobie nie da, prowadzi mię; a tymczasem szablę mu chłopiec przyniósł. Po prostu bałem się go, bo w oczach całéj chorągwi przed kilką niedziel Pawła Kossowskiego, naszego towarzysza posiekł. Wyszarpnę mu tedy rękę, stanę osobno i mówię: „com ci winien? zaniechaj mnie.“ Towarzystwo go trzymają; jak pchnie Drozdowskiego, puścili go: „idźże, aż cię zabiją.“ Była tedy rzeczka wązka, przez którą trzeba było przechodzić, i kładki przez nią wązkie położone. „Tam jeno, tam przejdziewa sobie, aż pod on las; kto kogo położy, żeby się już nie wracał do obozu.“

Popchnie mnie na owe kladki: „idźże ty wprzód.“ Tylko wstąpię na owę ławkę, tnie mnie z tylu w łeb, tylko że aksamit wenecki przedni był, Pan Bóg zachował, że nie przeciął, tylko trochę w jednêm miejscu aksamit puścił, a daléj pręga tylko jak biczem ciął. Zamroczył mnie jednak, żem spadł z owéj ławki w wodę. Umknę się tedy z owego miejsca bojąc się, żeby mi nie poprawił, i na tamtę stronę dobywam się mówiąc: „Boże! widzisz moję niewinność.“ Jeno co wynijdę

z wody, a on też już ławkę przeszedł. I mowię: „a milczkiem to kąsasz, pogański synu?“ Idzie do mnie; „Wnet cię tu lepiéj będę kąsał.“ A tu z obozu powychodzili i patrzą, bo wszystkie chorągwie do owéj rzeczki stały. Przytnie na mnie potężnie, aż mi zadrżała szabla w garści: wytrzymałem zakład Ścięliśmy się z dziesięć razy; nic ani temu ani temu. Mówię: „dosyć tego panie Marcinie“, on rzecze: „o takci synu nie uczyniłeś mi nic, a mówisz dosyć.“ Tak Pan Bóg dał, że po owém wymówieniu samym końcem szable dosiągłem go przez jagodę i odskoczyłem od niego. Téméż bardziéj dopiero na mnie na trze: i jak też urwę go w łeb, jakby nie był na nogach; dopiero go płazem pocznę walić na ziemi, wziąwszy w obie ręce szablę A tu dopiero kompania leci z pod naszych i z pod inszych chorągwi, mówiąc: „stój, nie zabijaj.“ Dałem mu z pięćdziesiąt razy płazą, niżeli przybiegli, za owę zdradę, co mnie z tyłu rąbnął w głowę. Była to w dzień ten kryzys tak zła, że z piętnaście pojedynków odprawowało się pod różnemi chorągwiami. Mnie zaś Pan Bóg w ten dzień w oczywistéj swéj miał protekcyi, kiedy mnie zachował od szwanku, z trzema mężami pojedynkując. A nie z żadnego to się stało męztwa, ale tylko z tego, że Bóg na niewinność moję respektował. Wiele takich pamiętam przykładów, że zawsze ten przegrywa, kto przyczynę daje. Kto będzie po mnie sukcesorem téj książki mojéj, przestrzegam i napominam, żeby się tym moim i wielu inszych temu podobnych przykładów budował. Żeby nigdy i najlichszego lekce nie poważał; żeby, choćby był mężem najdoświadczeńszym, ufając siłom i męztwu swemu, nigdy okazyéj nie dawał, i z pyszném sercem nie chodził na pojedynek, bo niech wie o tém, że się go lada kto nabije A gdy się zaś z pokorą swojéj oponować się będzie krzywdy i honoru, wzywając na pomoc Boga, zawsze wygra. Na wielu inszych i sam na sobie doświadczyłem tego Ile razy dałem okazyą, zawsze mnie wybito; ile razy mnie kto, zawsze zwyciężyłem. Takci dałem jednanym sposobem za ból i za rany ich, że to jest doświadczona prawda: bity płacze; złotych 1200, z osobna zastąpić cyrulika. Jasińskiemu nic, za gębę jeszcze go surowe cądzono: „żeś ty, gospodarzem bywszy i gościom dopuściłeś się bić, nie rozwadzając ich, i sam jeszcze wyzwałeś na pojedynek, za to daj do Brześcia Bernardynom złotych 600, i w pancerzu stać przez trzy msze w święto, szablę trzymając.“

Powiększéj części wszystkie pojedynkie były tego rodzaju, jak opisane przez Paska. Pojedynków z wyzwaniem, sekundantami i całą przepisaną ceremonią bardzo rzadko się spotyka. Zwykle nie szło o sprawę honoru, wynikały one z junakieryi, z napaści, ze zwad, z przemówek znaczenia niemających Młodzieniec zaprawiony w szkołach jezuickich w walce na kije*) rwał się, człowiekiem będąc, do korda — do którego namiętne życie publiczne i huczne pohulanki nie rzadką sposobność podawały Nawet ukoronowane głowy przykładem tym zarażały się. Lelewel biorący fakta z cennych poszukiwań Czackiego, kilka wypadków nam przytacza.

Król Jan Sobieski zniecierpliwiony przymówkami Paca na sejmie grodzieńskim 1685, chwyciwszy się za szablę: nie wywołuj, rzekł ciężaru ramienia mego! A Pac na to podobnie za szablę chwycił i odparł: pomnij żem był sprawny gdyśmy byli równi.

Obok podobnych wypadków królowie bezustannie napominali, twierdząc, że odwaga dowodzi się w utarczce z wielu, a nie w potyczce z jednym nieprzyjacielem. W wojnie, tysiąca kul i szabel nie lęka się żołnierz, a w pojedynku jednéj tylko kuli lub szabli wzdryga się szermierz. Tak mawiał król Jan III. A kiedy dwaj młodzieńcy urągali starcowi, że nie chciał się bić będąc wyzwany, król oświadczył że dopuści pojedynku po rozprawie z nieprzyjacielem, gdy strony dowiodą swéj odwagi. Z pierwszéj utarczki starzec przywiódł jeńce; młodziki zaś przynieśli fałszywą wieść o zbiciu wysłanego hufca.

Za Stanisława Augusta, ze wzrostem honoru pojawiały się niekiedy pojedynki w formie przepisanéj; ale karano je wyrokami na odsiadywanie wieży.

Z upadkiem Rzeczypospolitéj, zgasło jéj prawo, słabły starodawne widzenia i obyczaj. Zapatrywania się na pojedynek i sprawę honoru, poszły koleją obcego przykładu.

Za Księstwa Warszawskiego powodowali tego rodzaju sprawy, towarzysze broni. Za następnego królestwa, bardzo już rzadkie przykłady pojedynków spotykamy. Mówiono sobie, że w usłudze obywatelskiéj nie ma osobistéj obrazy.

Na tułaczce, mianowicie w pierwszych chwilach pod ogromem nieszczęścia i rozdrażnionych namiętności, spotykano się bardzo często konno i pieszo, wyczerpnięto kielich pojedynkowych goryczy, aż nim zdrowe pojęcie honoru i obrazy innego rodzaju satysfakcyi nie dało.

Dziś, zdarzają się wprawdzie przykłady, ale one są nader nie liczne.

Ci którzy dziś jeszcze uważają pojedynek jako przywrócenie honoru i czci wydartéj pamiętać powinni, że ta cześć bezpośrednio z indywidualnością naszą jest związana, że takowéj nikt prócz nas samych wydrzeć nie jest zdolny. Z drugiéj zaś strony postawienie życia na szali wypadku, nie maże jeszcze hańby, jeżeli kto na nią zasłużył. Według przekonania naszego, więcéj konsekwentnem złem byłaby zemsta na krzywdzącym lub obrażającym, niżeli zarzynanie winnych i niewinnych w tak zwanym honorowym pojedynku. W końcu śmierć, kalectwo lub rana, jeżeli ma być karą za krzywdę, prawie nigdy nie jest w normalnym stósunku do odniesionéj obelgi. Zkąd zresztą jednostka może przywłaszczać sobie prawo wymierzania takiéj kary? A jeżeli je przywłaszcza, to jako naruszająca porządek i bezpieczeństwo publiczne, w łonie spokojnéj i prawnie rządzonéj społeczności jest słusznie karygodną. Zresztą, aby dokładnie ocenić wpływ pojedynków na obyczaje, należy także rozważyć liczne nadużycia do jakich one prowadzą. Iluż to ludzi wątpliwéj moralności ucieka się do tego środka, szukając w nim dla swych bezprawiów bezkarnego schronienia.

Lekceważą ją oni, istotnie lub pozornie, niebezpieczeństwo walki osobistéj, ażeby pozbyć się jednym zamachem i niedogodnéj pretensyi przeciwnika, choćby ta była najsłuszniejszą, i własnéj winy w obec przesądnéj społeczności, któréj lękają się sądu. Tysiące niskich zamiarów pod tarczą pojedynku ukryło się i ukrywa się przed odpowiedzialnością, którą uchyla błaha, lecz uświęcona formułka, że dano lub przyjęto satysfakcyą. Parodoksalnie trochę ale rozumnie powiedział J. J. Rousseau, że „w każdym sporze człowiek ma słuszność, skoro tylko zabije przeciwnika.

Idee nie nikną w skutek saméj kontradykcyi, wskutek zewnętrznego przeciwdziałania przez zakaz tego, co one uświęcą. Obowiązkiem przeto jest szkół a następnie prawodawcy, wszelkiemi sposobami działać pośrednio dla zwrócenia opinii na drogę moralności i porządkowi publicznemu odpowiednią „Dla przezwyciężenia“ mówi jeden z uczonych prawników „obawy pogardy, nie raz niezasłużonéj, a z fałszywych pojęć o honorze wynikającéj, potrzeba tak wysokiego stopnia biernéj odwagi, że najsurowsze zakazy i kary nigdy nie będą dostatecznemi do wytępienia tego nieszczęśliwego zwyczaju, dopóki nie będzie znaleziony środek z obowiązania na-

*) Walka na kije nie była dawniéj ani poniżająca ani śmieszna. Montesquieu w dziele „De lesprit des lois“, wspomina, że jeszcze Karol Wielki wydał prawo dozwalające pojedynkować się, ale tylko na kije.

pastnika do zadosyć uczynienia, równego temu, jakie dziś pozyskuje się przez wystawienie życia swego na niebezpieczeństwo. Inny znowu mówi, że pojedynek zapełnia kartę próżną w prawodawstwie. W miarę zapełniania téj próżni rozporządzeniami, osłaniającemi honor, pojedynki stopniowo znikać poczną. Chociaż znalezienie takiego środka zadosyćuczynienia jest bardzo trudne, niemniéj jednak prawodawstwo ku temu zdążać powinno

Kończąc rzecz o pojedynkach wyrażamy życzenie, ażeby nie tylko mężczyzni ale i kobiety wywierające tak wielki wpływ na opinię publiczną okrywały śmiesznością krzywdzącego niesłusznie i siłą téj opinii zmuszały do upokorzenia się, a tem samém do zadosyćuczynienia skrzywdzonemu. W czasie turniejów średniowiecznych, kochanki wprowadzały do szranków skrępowanych w więzy swych rycerzy, na dowód zwycięstwa piękności nad siłą. Nadzieja szczytniejszego tryumfu otwiera się przed dzisiejszemi kobietami. Niech krępują nas więzami miłości bliźnigo i moralności, wiodą w szranki żywota, na dowód zwycięstwa cnoty nad namiętnością i przesądem, chrześcijaństwa nad niezatraconemi zabytkami pogaństwa.

# ROZMAITOŚCI.

(Wystawa przemysłowo-rólnicza w Kościanie) Zapowiedziana na dzień 17 i 18 maja wystawa w Kościanie, przewyższyła powodzeniem swojem oczekiwanie nawet optymistów. Obowiązek kronikarza, połączony ze zwykłą śmiertelnikom ciekawością zmusił mię porówno z innemi pośpieszyć na tę niezbyt częstą w Księstwie uroczystość rozumu ludzkiego. Uroczystości tego rodzaju są dziećmi XIX wieku - zastąpiły one średniowieczne turnieje i walki krwawe; tam usiłowano i ubiegano się o otrzymanie uznania siły brutalnéj, tu zrównym jeżeli nie zwiększym zapałem walczą o otrzymanie uznania siły ducha ludzkiego. Trudno w szczupłych ramkach jakie kronikarzowi pozostawiono, wdawać w szczegółowy rozbiór walki na polach kościańskich, chcę przynajmniéj podzielić się wrażeniem, jakie jéj widok ogólny, widzowi przedstawiał.

Już dworzec kolei żelaznéj w Poznaniu zapowiadał jadącemu, że gdzieś w pobliżu fakt niezwykły stać się musiał. Tłumy ludu, biegącego, jadącego najróżnorodniejszemi ekwipażami, a w końcu rzucającego się jak gladiator rzymski na zdobycie stopy gruntu przy kasie drogi żelaznéj, dziwną był sprzecznością, że zwykłym stanem błogiego spokoju, powagi i ociężałości dobrych Wielkopolan. Ale niczem to jest w porównaniu widoku, jaką dwudniowa Mekka Wielkopolski widzowi przedstawiała.

Zaledwie przybywszy na miejsce opuściłem dworzec, uderzył mię widok oryginalny wśród fali spieszącego tłumu. Były to dwa chłopskie wesela z Konojada. Pragnęły one tryumfalnym pochodem wśród współzawodników uświetnic sobie dzień weselny. Naprzód jechali konno drużby w świątecznych strojach, przepasani różnobarwnemi wstęgami, torując jak heroldzi drogę ślubnemu orszakowi. Za niemi na wielkim wozie, z uroczystym nastrojem postępowały drużki. Z kolei otoczona hożemi dziewicami i wesołą muzyką jechała bohaterka uroczystości.

Za pierwszym orszakiem ślubnym szedł drugi w porządku wyżéj wymienionym. Piękny to był widok hożych i strojnych dziewoi, z których każda mogłaby nosić w narzeczu ludowem miano czarownicy. A młódź dorodna na dziarskich koniach miała postać wesołą i swobodną, serdeczną i prostą. Nie darmo też lud w téj okolicy wyśpiewuje:

„Od Szamotuł do Kościana,
Chłop za chłopem gdyby dęby!
Jak psia wiara się nawinie.
Na odlewkę palnę w zęby.

I rzeczywiście, jakże to silne i ochocze życie w tych piersiach bije. Wśród zgiełku, wrzasku, śmiechów i śpiewów zaledwie dosłyszeć można skrzypka i dudy, tak wszyscy po swojemu, a głośno, wynurzają uczucia serca, tak im swobodnie odpocząć po pracy, wybijąc takt muzyki kopytami końskiemi, głosem i rękoma.

I kiedy nagle muzyka ton zmieniła, spytałem zdziwiony: Héj dudarzu skądże wraz dziś smętnegoście grali? Odpowiedział mi grajek, że to nie taniec a pieśń z kolei do chwili stósowna.

Pomimo całego powabu jaki znajdowałem w tem nowem dla mnie a pełnym interesu widoku, opuścić go musiałem i pospieszyć wraz z tłumem na miejsce przed którem tryumfalnym pochodem szły konie, bydło, owce i ludzie Nie dziwcie się czytelnicy téj różnorodnéj mięszaninie. Wszędzie się ona spotyka nie tylko na wystawach. Ktoby chciał widzieć koniecznie, mógł ją znaleść i w szopach po za terrenem wystawy zbudowanych. I tam nagradzono się wzajem srebrnemi i złotemi blaszkami — konkurowano i tam w ilości i jakości spożywania produktów krajowych i zagranicznych, a że usiłowania nie małe były, to dowodem niech służy brak srebrnych medalików, jaki się w końcu okazał.

Ale spieszyć muszę za bydłem. Dla nas mieszczuchów był to widok dosyć obojętny, albo lepiéj mówiąc, mało zrozumiały Podziwialiśmy wprawdzie wszyscy ogromne zwierze, nagrodzone medalem srebrnym, ale głos nasz był tylko echem opinii mędrszych od nas. Co do mnie wyraz tego bohatera więcéj mię intrygował. Brakło mu tylko zawieszonego medalu na piersiach a miałby postać nowego ministra, który à force de l'esprit teki się dochrapał. Wśród tego długiego szeregu popisujących się były i inne okazy równie charakterystyczne. Głównie jednak przeważały typy z których wyraźnie czytać można było niezadowolenie z téj przymusowéj parady. Za spokojne zjedzenie wiązki siana, oddałyby one cały splendor prowincyonalny. Jeden z nich zdaje się koniecznie chciał przed samą trybuną przyznać się że mu o zaszczyty i sprawę publiczną nie wiele chodzi — mam dobre siano, wygodne mieszkanie i napój niezgorszy, a mianowicie wywar gorzelniany — i o cóżbym się miał więcéj troszczyć. Do mówki téj nieprzyszło, nie wiem z jakiego powodu, jedni mówili, że z braku odwagi cywilnéj w obec tak licznie zebranych widzów, inni znowu że strażnik za rogi wiodący seryo temu zaoponował.

O ile pierwszy oddział bydła nie bardzo się w ogóle cieszył nużącym spacerem, o tyle idące za nim krówki uszczęśliwione były rzadko nastręczającą się sposobnością popisania ze swemi wdziękami. Jedna mianowicie z plamka czarna na prawéj stronie oblicza wspiąwszy się na kopytkach, jak na korkach z najpierwszego zakładu szewieckiego w Poznaniu, postępowała z widocznem zadowoleniem wewnętrznem i zdawała się mówić: „Patrzcie i uwielbiajcie" a kiedy le moment supreme przed trybuną nadszedł, tak kokieteryjnie na wszestrony wzrokiem rzucała, że aż mię ta śmiałość obrażać zaczęła. Panna służąca która jéj towarzyszyła, zapewne musiała kilka trafnych uwag do ucha zrobić, bo minąwszy trybunę już w swem zapale podobania się widocznie ostygła Tę cechę wszystkie mniej lub więcéj miały — ale dziwić się temu nie można, boć po tylko na wystawę przybyły.

(Dal. ciąg nastąpi.)

## Szarada.

Ujechać bez pierwszego
Coś bardzo trudnego,
Do drugiego zdążamy
Gdy wypływamy.
Wszystko nad morzem leży.
Dokąd naszych dużo bieży.

(Rozwiązanie szarady w numerze 20: *Kraszewski.*

## Korespondencya Redakcyi.

Autorowi anonimu S. S. Kto niema odwagi wypowiedzieć zdania swego tym, co gotowi każdego czasu rozsądną uwagę wysłuchać, ucieka się do anonimów, na które się nie odpowiada. Anonim choćby był mecenasem najuczciwszéj sprawy, chybia celu i naraża się na podejrzenie skandalisty i paszkwilanta.

Człowiek z wyższem poczuciem godności osobistéj, pod niewidzialny płaszczyk anonimu, nigdy nazwiska swego nie kryje. Wyświecenie sprawy poruszonéj anonimem jest przez nas zarówno pożądane; dotąd jednak że wzgardą zarzuty podobne odpychać będziemy, dopóki stwierdzone one nie będą dowodami i nazwiskiem oskarżyciela. Ze swéj strony interesowanego autora elementarza nie omieszkamy zawiadomić.

Panu W. A Artykułów tak specyalnéj treści jak Pański, nie drukujemy. Łatwo Pan pojmie, że odpowiedniejszem miejscem dla nich są pisma wyłącznie nauce poświęcone, jak n. p. Biblioteka Warszawska i Przegląd Polski

Pannie Maryi A... Wkrótce piękny temat kwiatów będzie przez pismo nasze poruszony a w tenczas i historya rajskiego ogródka Pani ominiętą nie będzie.

Panu Poecie na Prowincyi. Podziwiamy Pańską cierpliwość.